

Zaległa miłość Ewy S.

7 kwietnia 2015

– Henryku, kochanie, czy dodać ci do whisky dwie czy trzy kostki lodu? – krzyknęła Ewa, aksamitnie modulując głos.

Pytanie po kilku sekundach dotarło do męża, który siedział w drugiej części domu, a dom był duży i dlatego zajęło to aż kilka sekund – wliczając w to krótki postój w drzwiach salonu, który pytanie zrobiło sobie samowolnie w ramach rekompensaty za pracę w ciężkich warunkach.

– Dzisiaj dwie! Środa dzisiaj, kywa, nie pamiętasz?

– Zapomniałam! – aksamitny głos, po odbiciu od popiersia męża, stojącego w holu między kuchnią a salonem dziennym zielonym, przebiegł tę samą drogę w tym samym czasie.

– No! I żeby to było osta... O kywa macierzowa, strzelili nam gola, wkywili mnie! Trzy dawaj!

– Daję trzy, kochanie! – zachłysnęła się swoją łagodnością Ewa, gdy usłyszała z salonu:

– I kywa, nie trzy, tylko cztery! Albo pięć daj i całą flachę, bo zaraz przegrają te cioty i wuje, kywa macierzowa. – Henryk był profesorem matematyki i bardzo nie lubił przegrywać, a zwłaszcza zakładów sportowych.

– Już się robi kochanie! – głos Ewy był niezmiennie aksamitny, choć co bardziej wytrawni znawcy interpretacji głosu ludzkiego mogliby wyczuć, zwłaszcza w „robi”, lekkie poirytowanie, któremu jednak daleko było do powszechnie przyjętego zdenerwowania.

Gdy Ewa zmierzała do salonu z wózkiem alkoholowym by Valessi (a na nim potężny kubeł lodu i skromnych rozmiarów trzylitrowa butelka whisky), rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych.

W czasie potrzebnym Ewie na zawołanie: „ja otworzę!”, odpowiedź: „no chyba, kywa, nie ja!”, porzucenie wózka i zrobienie kilku kroków w stronę drzwi, wydarzyły się jeszcze trzy rzeczy. Odegrały one ważną rolę w ukształtowaniu samopoczucia pani domu w ciągu następnych kilku dni: przez dom przetoczył się wielowątkowy żar o rysie romantycznym, jakieś trzy razy większy niż ten sprzed sześciu miesięcy; komentator sportowy w czasie wykonywania rzutu karnego na chwilę zmienił temat i powiedział: „a teraz chciałbym wręczyć bukiet białych róż ukochanej pani Ewie”; popiersie Henryka szarmancko mrugnęło lewym okiem przy jednoczesnym wystudiowanym wychyleniu głowy w prawo.

Sprawnie poprawiła rdzawozłote włosy. Otwierając drzwi z narastającą nadzieją, spytała półprzymkniętym szeptem:

– Janek?

Janek Salaterski (wyobrażenie emocjonalne) – zaległa miłość Ewy z klasy 3b z liceum ogólnokształcącego w Goniądzu. Był przystojnym blondynem o arystokratycznych rysach twarzy. Miał czułe spojrzenie, w którym często pojawiał się uwodzicielski żar. Mrugnięcie lewym okiem rozbrajało najbardziej opornych. Miał nienaganny strój i maniery. Często widywano go z kwiatami. Dla kobiet tracił głowę, a najbardziej dla Ewy – to dla niej były zarezerwowane białe róże.

Janek Salaterski (stan faktyczny) – kolega Ewy z klasy 3b z liceum w Goniądzu. Był przystojnym blondynem o szlachetnych rysach twarzy skorygowanych w dół przez matołkowatą inteligencję ojca. Spojrzenie czułe z żarem w oczach wyuczonym przetrwałym. Mrugnięcie lewym okiem rozbrajało najbardziej opornych. Miał nienaganny strój i maniery, no może z wyjątkiem zachowania na osiemnastce u Łukasza. Często chodził z kwiatami. Dla kobiet tracił głowę, a najbardziej dla wspomnianego już Łukasza – to dla niego były zarezerwowane białe róże.

Ewa spod przymkniętych powiek opatulonych białymi pachnącymi płatkami zobaczyła nieregularny, brązowawy kształt i usłyszała przygnębiająco przyziemne:

– E?

„E” należało do kuriera, który stał nieruchomo i wyglądał, jakby miał chwilowy przerost tarczycy w wytrzeszczu kumulowanym miejscowo. Był łysiejącym brunetem o fałdach biodrowych mających cechy zwisów bocznych i klatce piersiowej na zwiotczeniu. Ewa w swoim rozmarzeniu wyglądała eterycznie i ponętnie, więc w oczach kuriera na chwilę pojawił się żar:

– Pawełek mam na imię i przesyłkę też mam – uśmiechnął się szeroko i szczerze, a Ewa przestała unosić się dwa centymetry nad ziemią i zbyła go zimnym spojrzeniem, strzepując z jego ramienia zagubiony i zapłakany płatek róży.

Kurier też przestał unosić się nad ziemią (było to jakieś piętnaście centymetrów, bo Ewa była wysoka, a on nie chciał jej patrzeć prosto w oczy):

– Dla pana Henryka Samka.

Z pokoju dało się słyszeć zdyszane pytanie:

– Ewcia, no gdzie ta flaszka, bo się wkywię!

– Idę, idę – powiedziała Ewa nieco nieaksamitnie.

– No! Tylko grzecznie, kywa ty!

– Do widzenia, pani Ewo – powiedział kurier Pawełek z odchodzącą w chrzäkaniu nadzieją i spojrzeniem podążającym za bezemocjonalnością kostki brukowej.

– Do widzenia – odparła Ewa, z początku zupełnie nieaksamitnie, ale gdy uświadomiła sobie, że zna skądś ten ton głosu, wpuściła w „dzenia” więcej czystej jedwabistości. Na tyle dużo, że kurier Pawełek obrócił się w półobrocie

romantycznym i wtedy wszystko było jasne.

Szymon Gwizdek (wyobrażenie emocjonalne) – kolega Ewy z pierwszego roku studiów. Niski, chudy i mało atrakcyjny. Za dużo włosów, czupryna jak u owczarka. Miał powłóczyście spojrzenie i chrząkał bez sensu. Chyba się w Ewie podkochał. Za każdym razem, gdy mu odmawiała, zmieniał mu się ton głosu, a jej robiło się niemiło w brzuchu, więc wolała unikać z nim spotkań. Ale Szymon był uparty. Uparciuch taki, i mały w dodatku.

Szymon Trębacz (stan faktyczny) – kolega Ewy z pierwszego roku studiów. Niski, chudy i przeciętnie atrakcyjny. Dużo włosów, niektórzy mówili, że czupryna jak u owczarka. Miał powłóczyście spojrzenie i chrząkał od refluksu. Podkochał się w Ewie bez wzajemności. Za każdym razem, gdy mu odmawiała, robiło mu się gorąco, a ton głosu zmieniał na dziwne pomieszanie nadziei, bezsilności i determinacji. Był uparty. Typowa cecha ludzi niewielkich ciałem, ale wielkich sercem.

Następnego dnia Ewa oddała się gnębiącemu myślinieskupieniu. Dzień taki jak ten idealnie do tego pasował. Na zewnątrz padał boczny deszcz, a nad drzewami szaropomarańczowe wkołomaciejki wyzwały energię w swoim przedśmiertnym locie. Chrząszcze przestały strzelać z buta i schowały się za ścianą od zawietrznej. Ludzie przemykali z paratarczami, byle tylko się nie załapać na zmianę kierunku wiatru. Psy nie czekały, bo jadły karmę o wpół do dziesiątej w Polsce.

Zamyślona, położyła się na dwuszezlongu. Nawet nie chciała włączyć muzyki centralnej – by nie pozwolić odejść ciszy i zamyśleniu. Jedyne, co powiedziała tego ranka, brzmiało jak „zaczyna się”.

Powiedziała to do swojej najlepszej przyjaciółki Ludmiły, która gdyby mogła, zamieniłaby się z nią miejscami. Miała kochającego męża Darka i niespłacony kredyt na dom. Mąż właśnie zrezygnował z pracy w firmie wuja, bo tamten miał

chłopskie maniery. Teraz dysponował nieograniczoną ilością wolnego czasu, ale nie za bardzo mu się chciało robić cokolwiek innego, niż kochać swoją żonę. Nie to co Ewa. Henryk był w miarę przystojny, no i przy dorobku. Bardzo dużym dorobku. A że od czasu do czasu powiedział coś bardziej po męsku...

– Przyjdzie. Jak ma przyjść, to przyjdzie. Więcej cierpliwości, kochana, a zobaczysz, że wszystko, co zaległe, się rozwiąże. Wiesz, takich mężczyzn jak mój Darek nie ma zbyt wielu na tym bezlitośnie beznamiętnym świecie.

Darek nie wchodził w grę, bo miał krzywy nos, a krzywy nos kojarzył się Ewie z nauczycielem od historii, który był obleśny i opowiadał dowcipy o majteczkach.

Ludmiła jeszcze przez pół godziny starała się jak mogła, ale jak zwykle nie za wiele zdziałała. I ten widok spadających na bruk wkołomaciejek i krzątających się pracowników zakładu oczyszczania, którzy zasysali ptaki do śmieciarki dużym czerwonym odkurzaczem. Tego było za wiele. Ewa zamknęła oczy i wyobraziła sobie słoneczną twarz kogoś, kto chce jej powiedzieć coś bardzo ważnego. Zanim twarz przybrała bardziej znajome kształty, rozległ się dzwonek do drzwi.

I była to twarz chyba tego...

I znowu dzwonek.

I Ewa zrobiła się lekko nieakselitna – jak zwykle w sytuacjach, gdy coś przerywa jej kontemplowanie swojego myślinieskupienia.

Gdy podchodziła do drzwi, usłyszała lekkie chrząkanie, a serce zabiło jej mocniej.

Tak, w drzwiach stał kurier Pawełek. Uśmiechał się szczerze, ale z dozą niepewności. Wzrok uciekał mu w stronę posadzki, ale dzielnie podnosił go akurat wtedy, gdy wypadało

mrugnięcie. Swoją obecnością i zachowaniem wywołał radość Ewy – mimo deszczu bocznego, mimo jej myślinieskupienia i mimo braku całkowitej pewności co do swojej nienagannej fryzury.

– Proszę, niech pan wejdzie, jeszcze deszcz pana zaskoczy z lewej i będzie problem – powiedziała Ewa niekłamany aksamitem. – Czy napije się pan herbaty, zanim powie pan swoje „mam przesyłkę dla pana Henryka Samka”?

Kurier wszedł do holu, starannie wytarł buty i odstawił paratarczę na matę suszącą. Pokręcił się trochę w miejscu, ni to nerwowo, ni to celowo. Ewie przypadło to do gustu – dokładnie tak samo zachowywał się Szymek, gdy chciał się z nią umówić na spacer w parku miejskim. Pawełek uśmiechał się przy tym cały czas i nic nie mówił. A szkoda, już wtedy jego ton był ujmująco wciągający i zrobiłby wrażenie na Ewie, zanim stało się to, co się stało.

A stało się coś złego. I dla niego, i dla niej. Pawełek postanowił ściągnąć buty. Gdy stał na lewej nodze i mocował się z prawym trzewikiem, obrócił się na chwilę i pochylił do przodu.

Ewa zobaczyła wielką połąć wyslizganych spodni na części siedzącej.

Ktoś, kto ma wyslizgane spodnie, nie ma prawa się ze mną emocjonalnie łączyć, pomyślała zmęczona głowa pani domu, a jej głos rzekł poza świadomością:

– Dziękuję za przesyłkę i do widzenia.

Pan Pawełek pokręcił się jeszcze w lewo, próbując ściągnąć but – i w prawo, gdy dotarło do niego, że jednak nie powinien. Stał naprzeciwko Ewy i powiedział do niej tonem wzbudzającym jednocześnie wyrzuty sumienia, empatię i odrazę:

– I już, tak?

Ewę niemiło zabolalo w brzuchu, ale powiedziała:

– Już, tak.

I wyszedł Pawełek, i nie obrócił się w romantycznym półobrocie, i wróciło myślinieskupienie. I jeszcze myśl przebiegła, że w Szymonie-Pawełku najbardziej podobało się jej to, jak się zachowywał, gdy mu odmawiała.

Minęły dwie godziny. W domu panowała cisza, bo pan wyjechał na dwa dni w podróż służbową i było więcej niż pewne gdzie – Czerwony Lotos Golf Day&Night Club Waciąż Mały. Służące zostały odprawione i Ewa była sama. Ta samotność stała się nieznośna, zwłaszcza w zestawieniu z uciskiem w brzuchu, będącym pozostałością po Pawełka odprawieniu. Dwuszezlong starał się jak mógł pomóc pani dokończyć czytać artykuł o przewadze psychicznej kobiet nad mężczyznami. Za oknem deszcz przestał zacinać z boku i stał się dziwny, górny. Trochę się przejaśniło w stronę bardziej pozytywnych emocji bioenergetycznych. Ewa zadzwoniła do przyjaciółki ze szkolnych lat, która przyjechała w ciągu pół godziny.

I rozmawiały, i rozmawiały, i rozmawiały. I piły, i piły, i piły. I likier, i nie tylko. I przyjaciółka wyszła, chociaż bardzo nie chciała. Chciała objąć Ewę, ale Ewa też nie chciała. I nawet zapomniała imię przyjaciółki, tak bardzo nie chciała ciepłego objęcia jej. Jego chciała. Kogo?

Potem był wieczór nijakością szydzący, a nad ranem Ewa obudziła się i zobaczyła mgłę. Chciała w mgłę się zanurzyć, ale utknęła w garderobie na wyborze płaszcza. Płaszcz znowu wszystko zepsuł. Zostało okno. I znowu zaczęła myśleć i pić, i chciała czytać, ale nic nie było o mgle, i po południu zasnęła, albo przynajmniej tak jej się zdawało.

Lato puszyste. Las. Drzewa. Prześwity między. Człowiek między prześwitami między. Mężczyzna. Duży. Duże to, duże tamto. Leci. Od niej, do niej, tak, do niej. Przeleci i zawraca, a przystojny. Blondawy pod słońce, brunetawy przed słońcem. Brzozy kwiczą radośnie do niego. Lecą. Dom gdzieś taki biały.

Tam iść. A Blond leci i wierszem sypie. Wiersz on ten jest lepki i gęsty i ona się robi oblepiona. I mężczyzna z brzóz, co kwiczą, do niej przylepia się i ciepły on, i mocny. I oblepieni lecą razem, a dom to duży i pałac raczej, i nie biały, tylko pastel. Jak ona lubi ten pastel. Cielesny pastel i on, ten człowiek, też pastel na ciele. A skóra zdrowa. I ona by też taką chciała. A on chyba czyta w jej myślach. Na olchy czubku litery pojawiają się. Litery robią minę i mówią: my pastel jego chcemy. Myśli to jej są i ona zdziwienie ma. I ona myśli jeszcze raz. I one, litery, mówią z czubka sosny. Mówią: my pastel kochamy. I mężczyzna z brzóz mówi oddechem pastelowym. Mówi, ale nie słychać, bo pałac blisko i krzyk daje. Kto daje krzyk. On. Tak on daje. On z popiersia i mężczyzna brzożą się zaciągą i ma siłę. Narkotyk brzoza ta. Kobieta, ona nie wie i też zaciągą się. I razem w brzozowej sile rzucają na popiersie się. Popiersie obraca się i do środka siebie. I zapada się, i nie ma. A mężczyzna pastel krwią zabarwia on. Bo zaciął się. Łzy las daje. On z lasu. Z brzóz pomiędzy. I szloch. I ona widzi. Kocha go las. I ona też zaczyna. Bo las go. Las dużo. Wszyscy go. Ona też. Mówi cicho, że las słyszy i zaciągą brzożą się w lewe nozdrze, które rośnie. I mówi to, i ona się wtula w swoje coś, co ma, a co ciepłe. Albo jego coś. Nie wie, bo on mówi i nozdrze rusza się czule na swój bok. A to najważniejsze jest. Co on mówi, bo ona nie słyszała nigdy. Sama kiedyś może. Sama sobie aksamitem. Od mężczyzny nie. Od pastela nie. I ona cicho i słuchać chce. I dom, co pałac, cicho też, ale mówi też: szybko, bo dzwonek. I on, mężczyzna z brzóz, przestaje na głosce pięknej. Się fastrygować igłami sosny zaczyna. Coby szybciej, coby mocniej. Coś zbliża się. Fastryga zacina o deszcz. Deszcz spada, boczny on. I dzwonek idzie i mówi: będę dzwonił. I dzwoni. I mężczyzna między znika. Nie ma. W lesie on. Między. Jest. Był. I dzwonek...

Dzwonek słychać i Ewa budzi się, albo nie budzi. Ale słychać dalej, ale ona nie chce. A on dzwoni i ona nie chce. Chce dalej na dwuszezlongu. I dwuszezlong też chce. Tak niech

będzie. I Ewa nie otwiera drzwi. I tylko popiersie widzi, że po jakimś czasie od drzwi odstepuje przystojny mężczyzna o pastelowej skórze, który lekkim krokiem przeskakuje przez furtkę i znika między drzewami.

I ona dalej śnić chce i śni. I dogania mężczyznę w pastelu i lecą dalej. Zawracają na czerwonym. I w domu są. Tu są. Brzozy w kuchni dygoczą. Oblepiani nawet oni są. Szezlong dusi. Mały. Nie to co drzew wierzchołki. Nie on. Realny bardzo. Za. I człowiek z brzóz ma spodnie. Spodnie! Nie patrzeć. Niech on tylko mówi. Niech litery na wierzchołkach piszą. Coś. Cokolwiek. Byle. Gdzie wierzchołki. Brzozy uschły. Człowiek lepi się do drzwi. Ona trzyma go. Popiersie śmieje się. Rośnie. Duże. Bardzo. Człowiek mały coraz. Listki rosną. Drzewko robi się. Człowiek powiedzieć coś ma, że nie da się. Rozum wtacza się. Człowiek deską staje się. W podłodze z listkiem deską. Nadzieja jest. Krzyczy: daj, daj. Ona podleje. On wzdycha. Mały. Mniej go. Ona też coś. Nie wie. Popiersie idzie. Dom trzęsie się. Drzewa uciekać chcą. Popłochem wieje. Aksamitny worek przywiewa się sam. Ludmiła się śmieje. Popiersie chrząka i wyślizgane jest. Wszędzie ono. I robi to. Co. Podłoga trzeszczy od przytupu. Nie ma człowieka z brzóz. Nic. I popiersie mruga lewym okiem. Szyderstwo pęcznieje. Idzie. Więcej.

Ewa obudziła się. Spała długo. W salonie słyszeć mecz. Aksamit musi być.

Autorstwo: Piotr Kowalczyk

Źródło: [Password Incorrect](#)

Licencja: [CC BY-NC-ND 2.5](#)